Cena numeru 10 zł.

RÓZGI
BIJĄ CO TYDZIEŃ

Rok II 26 styczeń 1947 Nr.5 (25)

Z cyklu: ARCYDZIEŁA MALARSTWA ŚWIATOWEGO

KONFERENCJA LONDYŃSKA OBRADUJE NAD CHORYM ORGANIZMEM III RZESZY



Rys. HENRYK TOMASZEWSKI

Rembrandt: GODZINA ANATOMII (w angielskiej wersji)

* * *

W całym świecie bez przerwy odbywają się wybory. Masarzom ręce odlatują z nadmiaru pracy Tylko u nas kiełbasy wyborczej jakoś nie chcieli dawać. Powiedzieli, że naród zamiast kiełbasy dostał reformę rolną, ziemie zachodnie, upaństwowienie fabryk i dlatego wiadomo, jak będzie głosował.

I słusznie.

Dlatego wybory odbyły się we względnym porządku. Komisarze wyborczy nie padli na polu chwały i mogą teraz swobodnie zająć się leczeniem swych nadwyrężonych pracą umysłów. opozycja może teraz sine ira et studio obliczyć głosy, na których przeliczyła się. I wyciągnąć z tego odpowiednie do sytuacji dziejowej wnioski.

Drukarnie zziajane wielotygodniową pracą mogą już głębiej odetchnąć. Korektorzy mogą znowu czytać słowniki ortograficzne. Jodłowski i Taszycki znowu obowiązują.

Także lepiacze afiszów mogą już zwrócić klej do piekarń. Młyny papierowe także nie muszą już dewastować naszych lasów. Nasze lasy nie mają żadnej podstawy do dewastowania naszej młodzieży. Nasza młodzież, jeśli pojmuje ogrom dokonanych szkód, przystąpi do pracy organicznej. Ojczyzna po przejściu próby wyborczego ognia, może z uśmiechem spoglądać w stronę czynników poddających ją próbie dyplomatycznej... wody. Schuhmacher pociągany za sznureczek, może już wymachiwać rękami i językiem, jak się mu (i konserwatystom) podoba. Polska szyje mu dobre buty — na pierwszorzędnej, nowoczesnej podeszwie z gwoździami (do trumny).

Wskutek tego Churchill we własnym i swego państwa interesie musi pociągać za inne sznureczki. Może to być koncepcja Stanów Zjednoczonych Europy pod egidą Anglii, może to być konspekt egidy Stanów Zjednoczonych Anglii pod batutą Stanów Zjednoczonych Ameryki Południowej, Środkowej i Północnej. A mogą to być nawet sznureczki od własnych kalesonów. Polska witając w prezydencie Francji Auriolu rzecznika tendencji anty-niemieckich, łączących oba kraje odwiecznym węzłem... (na szyi), przeznacza dla polityków ze sztucznym śmiechem swój własny szczery... uśmiech. Spodziewa się, że Francja potraktowana szczodrze Auriolejem już nie będzie cierpieć na parlamentarne obstrukcje. Doprowadzi wreszcie do denazifikacji Niemiec i do pacyfikacji... Vietnamu.

A więc cieszymy się i radujemy skoro mamy sejm! Niech już nasi rodacy, których zagranicą zatrzymały przeróżne przeszkody nie do przezwyciężenia (bez pomocy wyborów), wreszcie zabierają ze sobą dolary, funty, willisy, „doczki", juki zdobyczne, niech wreszcie rozpocznie się normalne narodowe życie. Niech Hilary Minc dalej wiąże koniec rozprywatyzowanej inicjatywy powszechnej z końcem rozbujałej inicjatywy prywatnej, i niech nigdy nie spełniają się te słowa starego pisarza tyczące sejmów:

„Już tam kilka niedziel bają
i w niczym się nie zgadzają".

Bo chociaż najodpowiedniejszym terenem do sporów były zawsze: prasa, literatura publicystyczna, scena sąd, sejm, nie stać nas w tej chwili na spory. Europa na nas patrzy!

Czas więc, aby ziściły się te słowa poety:

„Kiedyś wiosna otworzy
nasciężaj,
pestki serca rozłupane na pół,
zasiądziemy do jednej
wieczerzy,
będzie ziemia, jak jeden stół".

Nie bądźmy więc stołowymi nogami, ale jeśli w sercu zamiast serdecznej krwi, mamy połamane pestki, niech to nie będą pestki z niebieskich migdałów lecz bodaj z konkretnych śliwek. Aby spełniły się słowa futurysty:

„Fioletowe kapią wonie,
na blaszany dach mego serca,
luba, pozwól otrząść
z twego serca wszystkie śliwki"

Oczywiście tam mowa o pestkach a tu o śliwkach... Ale tak już jest u poetów: — przesadzają wciąż jak ogrodnicy.

Migdałek

LUDWIK JERZY KERN

BAL ARYSTOKRATÓW

Bywszy pan hrabia z panną Eulalią
spotkał się wczoraj i wziął na bal ją.

Bal ten urządzał „Komitet Hrabin,
które z społecznych zleciały drabin".

W samotnej willi jak na atolu
sporo się hrabiów zebrało w hall'u.

W szatni z napisem „Tutaj nie grabią"
hrabia zdejmował okrycia hrabiom.

Z hasłem na ustach „Bawmy się sami"
hrabiny były pokojówkami.

Hrabia-wodzirej latał po sali.
Inni hrabiowie także latali.

Eulalia czuła się jak w rodzinie,
bo nawet hrabia grał na pianinie.

„Sami hrabiowie! Sami hrabiowie!"
— aż się Eulalii kręciło w głowie.

Potem był taniec: Wodzirej-hrabia
jak mógł zawijał i pląs rozrabiał.

Koszyczek. Kółko. Krzyż. Reverence.
I się hrabiowski rozwijał danse.

Wreszcie wodzirej, chociaż miał smoking
straszną rzecz zrobił. Popełnił shocking.

Bo krzyknął, głosem swym walcząc z wrzawą:
„Hrabiowie w l e w o! Hrabiny w prawo!

Hrabiny! Proszę walcem pod ściany!
Hrabiowie! Proszę w y b i e r a ć damy!"

A na to krzyk się podniósł: „Nie chcemy!
Nie wybieramy! Bojkotujemy!

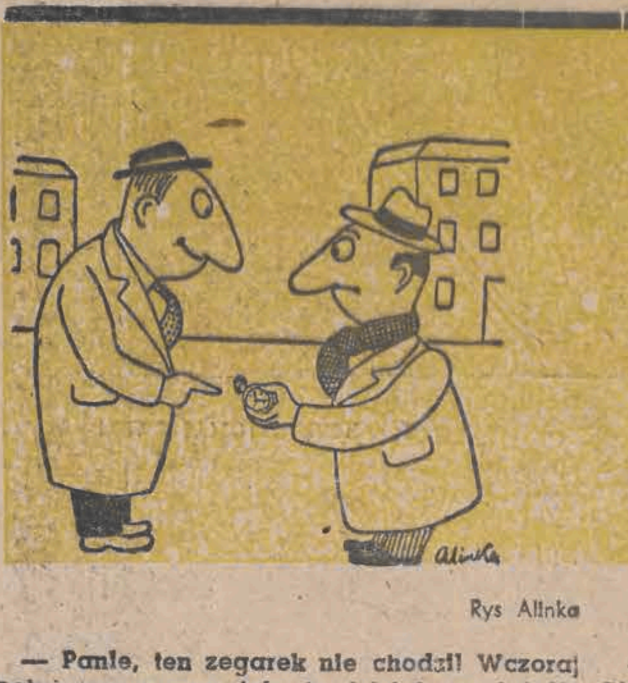
Hrabiowie w lewo? Faux pas i grandal"
— nawet Eulalia krzyczała: „Skandal!"

„Wodzirej łobuz! Co on wyrabia?
Tak agitator robi nie hrabia!"

Idee zdradził!" — No i dlatego
hrabiowie mocno stłukli hrabiego.

Potem Eulalia dostała szoku
i z tego szoku ma wodę w boku.

Tak więc nie wyszedł na dobre bal jej.
Biedna Eulalia. Strasznie mi żal jej...



Rys Alinka

— Panie, ten zegarek nie chodzi! Wczoraj położyłem go na stole, to dzisiaj tam leżał!



Rys Alinka

— Słuchaj, co się stało twemu mężowi? Dlaczego się ze mną nie przywitał?



Rys Alinka

— Wiesz on jest do kogoś podobny!
— Do kogo? Nie możesz sobie przypomnieć?
— Nie. Do kogoś, kogo nie znam!

ISTWAN ES

DEPOZYT

Layos był od dziesięciu lat inkasentem Banku Dewizowego i cieszył się pełnym zaufaniem swych przełożonych.

Kiedy mu czasem mówiono: — ależ to musi być wielka pokusa mieć przy sobie takie wielkie sumy! — odpowiadał zawsze niedbale: — pieniądze, które do nas nie należą, nie są pieniędzmi!

Pewnego wieczoru, po zainkasowaniu poważnych kwot, Layos nie wrócił do mieszkania. Ponieważ nikomu do głowy by nie przyszło podejrzewać go o ucieczkę z pieniędzmi, przypuszczano, że stał się ofiarą zbrodni. Puszczono w ruch organy bezpieczeństwa, podczas, gdy inkasent spał sobie beztrosko w małym hoteliku na przedmieściu. Nazajutrz zrana wstał, włożył pieniądze (było ich ponad milion pengo) do grubej koperty, zapieczętował lakiem i poszedł do notariusza.

— Mam prośbę do pana — rzekł — wybieram się w daleką i długą podróż, czy nie zechciałby pan wziąć na przechowanie tę kopertę z mymi osobistymi dokumentami?

— Naturalnie. Dam panu pokwitowanie.

— Tylko, widzi pan, jestem sam na świecie, nie mam krewnych, ani przyjaciół. Podróż moja jest do pewnego stopnia niebezpieczna. Mogę pokwitowanie zgubić lub... mogą mi je ukraść. Niech więc pan dokumenty schowa między swoje ważne papiery, a kiedy wrócę, wystarczy, skoro powiem moje nazwisko panu lub jego zastępcy. Proszę napisać na kopercie, że tylko w ten sposób papiery moje są do odebrania. Pan nic nie ryzykuje, tylko ja...

— Racja. Pańskie nazwisko zatem?

— Jokay, Bela Jokay — odparł Layos bez namysłu, na chybił trafił.

Wyszedłszy na ulicę, odetchnął z ulgą:

— Zdobycz w bezpiecznym miejscu. Po odbyciu trzech — czterech lat więzienia będzie bogatym człowiekiem. Lepiej tak, aniżeli całe życie chodzić od drzwi do drzwi, inkasując pieniądze. Zamieszka później na wsi jako Jokay... Spokojnie i wygodnie spędzi ostatnie lata... otoczony szacunkiem i uznaniem...

Poczekawszy jeszcze dwadzieścia cztery godziny, oddał się sam w ręce policji, wolał bowiem powiedzieć prawdę, to znaczy przyznać się do kradzieży pieniędzy, ale ani podczas przesłuchania, ani na rozprawie sądowej nie można było zeń wydobyć, co zrobił z milionem pengo. Powtarzał w kółko:

— Nic więcej nie wiem. Zasnąłem na ławce i obudziwszy się nie znalazłem przy sobie pieniędzy!

Z uwagi na nieposzlakowaną dotychczas przeszłość skazano go tylko na dwa lata więzienia. Wysłuchał wyroku, starając się nie drgnąć z radości: za dwa lata będę bogaty, za dwa lata będę bogaty...

Prędko minęła kara w więzieniu. Nadszedł upragniony dzień wolności. Oddano mu węzełek z rzeczami. Wziął go niedbale i wyszedł z kryminału, opanowany jedyną myślą jak najrychlejszego udania się do notariusza.

Po drodze wyobrażał sobie przebieg sprawy:

Wejdzie do biura, spyta o notariusza, stanie przed nim... ciekawa rzecz czy go pozna? Bądź co bądź więzienie...

Spojrzał ukradkiem w jedno ze zwierciadeł wystawowych: tak zdziadział i postarzał się... notariusz go na pewno nie pozna. Ale to nic nie szkodzi.

— Czego pan sobie życzy? — zapytał notariusz, spoglądając podejrzliwie na wynędzniałego osobnika.

— Chciałbym zabrać swój depozyt. Złożyłem go u pana przed dwoma laty.

— Depozyt?—zaczął sobie przypominać notariusz. — Zaraz, zaraz... Na czyje nazwisko?

— Jokay, Bela Jokay...

Notariusz zabrał się do poszukiwań. Po upływie kwadransa dobył z kasy pancernej grubą, zalakowaną kopertę.

— To ta! — krzyknął z radością Layos.

— Tak, to ta — uśmiechnął się notariusz. — Wszystko w porządku. Nazwisko się zgadza — może pan ją odebrać.

Layos schwycił gorączkowo depozyt, obmacał palcami i już chciał schować do kieszeni, gdy wtem przyszło mu coś na myśl.

— Bardzo panu dziękuję — powiedział uszczęśliwiony. — Chciałbym panu zapłacić za przechowanie... Ile?

Notariusz zmierzył go badawczym spojrzeniem.

— Hm — mruknął po namyśle — na zamożnego pan nie wygląda, więc bo ja wiem... 15 milionów pengo?

Layos zbladł jak ściana.

— Pan — zająknął się — chyba pan oszalał? 15 milionów? Taką fortunę? Takie krocie?

Notariusz machnął niedbale ręką.

— Widać — rzekł — że pan długo za granicą przebywał i nie miał wiadomości z kraju. Inflacja, panie, inflacja: pół miliona pengo bochenek chleba dziś kosztuje...

Z węgierskiego przełożył
A. Panewka

UKŁAD FRANCUSKO-ANGIELSKI BLUM-ATLEE, DAJE PIERWSZEŃSTWO NIEMCOM W KWESTII WĘGLA Z RUHRY





Rys. Regina Kańska

WĘGIEL KAMIENNY (dla Niemiec)

KAMIEŃ WĘGIELNY (dla Francji)



Rys. Kazimierz Grus

Gdy przeczytałem w „Tygodniku Powszechnym" artykuł p. Natansona, a w „Odrodzeniu" artykuł p. Swirszczyńskiej — obydwa na temat zastraszającego wzrostu pijaństwa w Polsce, byłem wstrząśnięty do głębi.

Postanowiłem przestać pić! Od razu. Od ręki! A właściwie — od gardła... Bo dotychczas różnie bywało. Człowiek nie jest z żelaza. A to koleżki pociągną na wódkę, a to wódka sama pociągnie...

Za kołnierz się nie wylewało, bo to szkoda kołnierza, a zwłaszcza — szkoda wódzi. Ale teraz — szlus! Koniec. Amen!

Gdy w tej ważnej w mym życiu chwili synek sublokatorów zabrzdąkał na fortepianie melodię „Pije Kuba do Jakuba" — pobiegłem tam i zrobiłem trzaskającą awanturę. Obiecali solennie, że już nigdy w życiu chłopczyk nie zagra ani „Kuby", ani „Więc przepijmy naszej babci domek mały".

Pokrzepiony na duchu, wyszedłem na miasto. Dokąd się udać?

Naturalnie postanowiłem — do SZWA, czyli „Stowarzyszenia Zdecydowanych Wrogów Alkoholu".

Stowarzyszenie zastałem zamknięte, chociaż były to godziny urzędowe. Ponieważ usłyszałem z wewnątrz ożywione głosy, zacząłem się energicznie dobijać. Po dłuższej chwili otworzył mi drzwi starszy mężczyzna o długich wąsach i olbrzymim fioletowym nosie. Zalatywało od niego przyjemnie alkoholem.

— A pan czego? — spytał niezbyt grzecznie.

— Ja, jako wróg. Chciałbym zapisać się do SZWA, gdyż postanowiłem przestać pić — odparłem z dumą.

Mężczyzna z fioletowym nosem bardzo się ucieszył.

— A, to doskonale! Będzie pan sto pierwszym członkiem. Właśnie jest dziś u nas mały jubel, gdyż wczoraj pozyskaliśmy setnego... O, patrz pan! To ten, który leży pod stołem! — to mówiąc, mój rozmówca otworzył szerzej drzwi i wskazał na pokój pełen biesiadników, ucztujących przy obficie zastawionym stole. Jeden z uczestników zabawy istotnie leżał pod stołem...

— to takie wasze stowarzyszenie! — zawołałem oburzony — Idź precz szatanie! Nie chcę mieć z wami nic wspólnego!

— Co mnie pan szatanem przezywa, kiedy ja jestem łysawy blondyn! — odparł ze zdziwieniem mój interlokutor.

BOGDAN BRZEZIŃSKI

Precz z wódką

Drżąc z oburzenia wybiegłem na ulicę.

— Nie dam się sprowadzić ze szlachetnej drogi! — powtarzałem w duchu.

Gdy to wspaniałe postanowienie powtarzałem po raz dwunasty — potrąciłem jakiegoś obywatela, idącego w przeciwnym kierunku.

— Jak się masz, Karolek! — zawołał przechodzeń — Świetnie, że cię spotykam! Tak cholerycznie zimno, że trzeba koniecznie wpaść gdzieś na rozgrzewkę, a nie miałem z kim!

— Serwus — odparłem zimno — ale ze mną nie pójdziesz...

— Bo co? Forsy nie masz? Ja stawiam!

— Nie o forsę idzie, lecz o silną wolę! Postanowiłem przestać pić.

— Od kiedy? — spytał ze zdumieniem znajomy.

— Od dziś.

— A od jutra nie mógłbyś...

— Nie! Ani kropli od dziś! Skończyłem z wódeczką!

— No dobrze... Ale możemy pójść na piwko...

— Mówisz nielogicznie — odparłem sucho — Powiadasz, że chcesz się rozgrzać i proponujesz piwko. Jeszcze bardziej zziębniesz.

— No, moglibyśmy wypić grzane piwko...

— Ani mowy! Szkoda słów. Do widzenia!

Znajomek chwycił mnie za guzik.

— Momencik! Więc nie pójdziesz z przyjacielem, któremu urodził się syn?

— Syn?... Tobie??? Niemożliwe!

Przyjaciel kiwnął głową z rozanieloną miną.

— Tak, tak, urodził się. I trzeba to oblać.

Zmiękłem jak wosk. Rozłożyłem ręce.

— Skoro tak, to kapituluję. Po raz ostatni wypiję. Ale tylko jednego!

— Oczywiście, jeden litr wystarczy! — zapewnił przyjaciel.

Poszliśmy — Pierwszy kieliszek wypiliśmy pod synka. Drugi pod rodziców. Trzeci detalicznie pod ojczulka, a czwarty pod mamusię. Potem przyjaciel przypomniał sobie, że wypada wypić za zdrowie rodziców chrzestnych w ogóle, po czym za każde z nich z osobna...

Około pierwszej w nocy byliśmy zalani „w srebrnego lisa", to znaczy, że można nas było przewiesić przez ramię.

Na ulicy wybełkotałem do przyjaciela:

— A jak... a jak synkowi będzie na imię?

— Antoś, przyjacielu ser... serdeczny!

— Antoś?... Po... pospolite imię! Nie lepiej Krzysztof?

— Krzysztof? Faktycznie ładne imię! Ale przecież jego żona już się przyzwyczaiła do Antosia, jak tu nagle zmieniać na tego... na Krzysztofa?

— Przyjacielu! — zawołałem — Czyś się nie upił? Czyja żona?? Noworodka?!

— Jakto noworodka? Przecież Antoś ma już 25 lat!

Momentalnie wytrzeźwiałem.

— Co?! Dwadzieścia pięć lat?... A powiedziałeś, że ci się dopiero urodził?

— Powiedziałem tylko, że się urodził ale nie zaznaczyłem — kiedy! — odparł przyjaciel z błogim uśmiechem.

Odszedłem bez pożegnania.

I dalej piję. Sądzę, że gdyby pan Natanson miał takich chytrych przyjaciół, to też by pił. I w ogóle u nas ciężko walczyć z alkoholizmem. Za dużo, uważacie, w Polsce jest przyjaciół!

JERZY ZAJĄCZKOWSKI

W sprawie grzeczności

Czy czasem nie wie Pan Redaktor,
czy Pan Redaktor czasem nie wie,
dlaczego bliźnim brak jest taktu?
Dlaczego warczą wciąż na siebie?
Dlaczego wciąż do siebie rwą się?
Dlaczego wciąż ze sobą żrą się?

Bo proszę Pana Redaktora
o każdej porze: w grudniu, w maju,
żre się ze sobą bliźnich sfora
w parku, na jezdni i w tramwaju,

w barze kawowym, w knajpie, w budce
z bimbrem. Na filmie rodu Goupi.
Żrą się bez wódki, żrą przy wódce,
tak, że zupełnie jestem głupi.

Żrą się, gdy jest do tego powód
i żrą się, gdy powodu niema.
I przytyczków ciągnie się korowód,
aż z tego robi się problemat.

No bo jak bliźni tak wciąż rwą się
o byle co się z sobą żryć,
jeśli o byle co wciąż złą się,
to już problemat musi być.

Dlatego myślę, że Redaktor
mógłby dorzucić coś od siebie,
żeby nauczyć bliźnich taktu,
żeby nie było już tych faktów
żarcia się między sobą w gniewie.

Grzeczność, co prawda, jest nauką,
ani zbyt łatwą, ani małą.
Jednakże z pańską, mistrzu, sztuką,
cośby się, wierzę, zrobić dało...



Rys. Kazimierz Grus

KAROL KOWALSKI

Wdowiec

Nad świeżą mogiłą stał smutny jegomość z pochyloną głową. W ręku trzymał kapelusz. Na rękawie płaszcza miał opaskę z krepy.

Powoli zbliżył się do niego grabarz. Wyjął fajeczkę z ust, westchnął i powiedział:

— Wiem, że to faktycznie nieprzyjemna rzecz, kiedy się bliskie osobę traci, alę muszę zaznaczyć, że cmentarz zamykamy...

Wdowiec westchnął ciężko i odparł głuchym głosem:

— Tak... Rozumiem... Ale gdy pomyślę, że mam pożegnać moją nieboszczkę żonę, serce mi pęka! Tym bardziej, że mam wyrzuty sumienia... Nieboszczka zawsze mi mówiła, że mam przykry charakter i wpędze ją do grobu. I faktycznie — nie żyje biedaczka! Ach!...

Grabarz pokiwał głową.

— Niech pan szanowny nie rozpacza. Na tamtym świecie szanowna nieboszczka prawdopodobnie przebaczyła panu!

— Oby tak było! — zawołał z bólem wdowiec.

Po czym wydobył z kieszeni banknot, podał go grabarzowi i ciężkim krokiem oddalił się ku bramie cmentarnej.

W dwa lata później — nad świeżą mogiłą stał smutny jegomość z pochyloną głową. W ręku trzymał kapelusz. Na rękawie miał opaskę z krepy.

Zbliżył się do niego grabarz. Wyjął z ust fajeczkę i powiedział z westchnieniem:

— Ciężka to rzecz, gdy się traci kogoś bliskiego, a szczególnie ślubną małżonkie. Ale nie długo zamykamy cmentarz.

— Ach, gdy pomyślę, że jej już nie ma!... — odparł smutny jegomość — To już moja druga żona, panie grabarzu!

— Aha, teraz sobie przypominam Numer pierwszy grzebałem dwa lata temu! — zawowłał grabarz.

— Tak jest. A co gorsza, że mam wyrzuty sumienia. Bo ta druga żona zawsze mi mówiła, że mam dokuczliwy charakter i że wpędzę ją do grobu...

— Pewnikiem przebaczyła panu szanownemu w raju.

— Oby tak było! — mruknął z bólem smutny jegomość i wręczył grabarzowi banknot. Cieżkim krokiem powlókł się do bramy cmentarnej.

W dwa lata później smutny jegomość stał pochylony nad świeżą mogiłą. Ubrany był przepisowo. Podszedł grabarz.

— Zamykamy, panie — powiedział.

— Gdy pomyślę... — zaczął smutny jegomość.

— Że co?... — spytał grabarz z zainterosowaniem.

— Że moja małżonka zawsze narzekała na mój trudny charakter, to mi się serce kraje z bólu! a ta trzecia małżonka była, jak anioł!

— Ach trzecia?... Teraz pana szanownego poznaję! — zawołał grabarz— No niech się pan nie martwi. Skoro była anioł, to napewno przebaczy panu w niebie. Anioły nie bywają mściwe.

— Oby się tak stało! — rzekł z westnieniem smutny wdowiec i wręczył grabarzowi banknot.

W dwa lata później — smutny jegomość w przepisowym stroju stał nad świeżą mogiłą. Tym razem nie był pochylony. Podszedł grabarz.

— Czwarta? — spytał grabarz, uchylając czapki.

— Nie. wpół do szóstej!

— Ja się nie pytam o godzinę, tylko o numer kolejny szanownej nieboszczki żony!

— A, żony... Tak, czwarta. Umarła biedaczka. I gdy pomyślę...

— Wiem, co pan szanowny myśli — przerwał grabarz — że wyrzucała panu, że pan ma choleryczny charakter... Ale niech pan o tym zapomni, bo i ona tam w górze też na pewno o tym zapomniała.

— Oby tak było! — szepnął z westnieniem wdowiec.

Kiwnął głową i ruszył ku bramie cmentarnej.

Grabarz pobiegł za nim.

— Panie — a na piwo!?

Wdowiec zatrzymał się, poszperał chwilę po kieszeniach i rzekł z lekkim zażenowaniem:

— Niestety, nie mam ani grosza. Wykosztowałem się na pogrzeb. Ale to nic. Po pogrzebie następnej żony dam panu podwójny napiwek!



Rys. Maja Berezowska

— O jednego z nas jest tutaj za dużo!
— Całe szczęście! Przynajmniej nam nikogo nie dokwaterują!

WITOLD ZECHENTER

Szarady literackie

1.

Pierwsza — to rzadsza litera,
druga — nazwisko leadera,
całość — to z czego woda sika
albo pisze „Janosika".

(Kurek).

2.

Pierwsza — nic, ramion wzruszenie,
druga — trzecia — napój w cenie,
czwarta — do „w" narty przyjnij,
całość — pisarz, tancerz i dowcipnik.

(Olwinowski)

3.

Pierwsza — dużo tego w aptece,
druga — imperatyw: róbże przecie!
trzecia — to inaczej narty,
całość — poeta czy żarty?

(Gałczyński).

4.

Pierwsza — brat we włoskiej mowie,
druga — wstydzę się, nie powiem,
całość — poeta, co — jak inni nowsi —
awansował ze wsi do „Wsi".

(Fraslik).

HAFIS

Słowik i róża

Zamiast słuchać, jak derwisze
coś trzy po trzy ludziom ględzą.
aby tylko osnuć duszę
słów zwodniczych świętą przędzą,
wolę ucho swe skierować
ku drzew gęstych kazalnicy,
tam, gdzie słowik złotousty
zwierza serca tajemnice,
tam, gdzie śpiewa pieśń miłosną
róży, uczuć swoich pani: —
meczet jego — to niebiosa
drzewa — wierni zasłuchani.

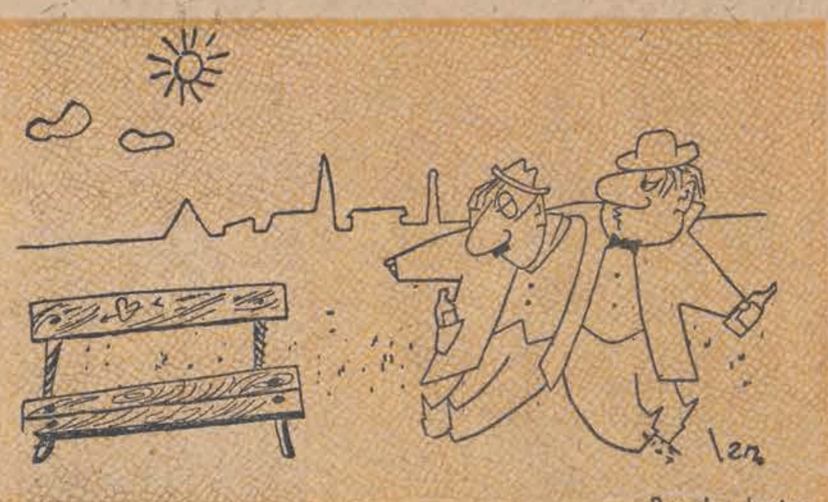
Jeśli...

Jeśli nagle nie wiadomo czemu
ujrzysz twarz mą zasmuconą, niemą
I dostrzeżesz, że me ciało biedne
w oczach twych zaczyna schnąć i więdnąć —
nie podsuwaj żadnych gorzkich leków,
gardzę taką troską i opieką:
przynieś butlę mi tęgiego wina,
przynieś lutnię flet, i tamburino;
gdy i tak się nie poczuje zdrowo
pod[illegible] ust mi swych najsłodszy owoc.
Jeśli to mnie nawet nie uleczy,
Już umarłem wiedy w samej rzeczy.

Spolszczył K. A. Jaworski



— Ten facet, to się zawsze tak śpieszy, że jego płaszcz nie może za nim nadążyć!



Rys. Jan Lenica

— Alee tyś ·lę... ep... zalał, przecież to... ep...
— Pppopatrz... krowa!

Powietrze było przesiąknięte słodkim aromatem lip, ale Kulisz tego nie czuł. Tafla rzeki mieniła się cieniami fioletu, ale Kulisz tego nie widział.

Stał i wpatrywał się niecierpliwie w drewniane, pomalowane na zielono drzwi małej willi nadbrzeżnej.

— To tam! — zgrzytał zębami — To tam teraz moja żonusia przyprawia mi rogi. No, ale ja mam czas, ja zaczekam, a gdy wyjdzie — zabiję! Tak jest, psiakrew — zabiję!

Od rzeki wiało chłodem przedwieczornym, lecz Kulisza trzęsło ze złości. Więcej niż roje komarów, bzykających mu nad głową, kłuła go myśl o małej, brudnej karteczce, którą otrzymał dziś rano:

„Żona pańska... dziś po południu... z młodym człowiekiem... w willi nad rzeką... Willę pozna pan łatwo po drzwiach drewnianych, pomalowanych na zielono..."

— Cholera ciężka! — dygotał — Taki wstrząs w moim spokojnym życiu, poświęconym urzędowi skarbowemu, okulizowaniu krzewów różanych i łowieniu ryb na wędkę! No, ale zobaczymy, moja pani, zobaczymy! Niech tylko otworzą się te zielone drzwi...

Nie spuszczając z oczu drzwi, które kryły hańbę jego honoru, zerknął przypadkiem w stronę brzegu, gdzie jakiś rybak zdejmował rybki, nadziane na haczyk wędki.

— Co za rybne miejsce! — westchnął Kulisz, lecz w tej chwili poczuwszy niewłaściwość uwagi mruknął ze złością: zabiję, na miły Bóg zabiję!

W miarę czasu, jakkolwiek obserwował czujnie willę, nie mógł się powstrzymać od skośnych, błyskawicznych spojrzeń w stronę nieznajomego rybaka i stwierdzenia braku analogii ruchów jego ze swoimi ruchami, które stosował przy umiłowanym przez siebie łowieniu ryb.

— Co za niezgrabiasz! — warknął gniewnie widząc jak w pewnym momencie rybak z okrzykiem: pstrąg, pstrąg! — zerwał się z kamienia i omal nie wpadł do rzeki.

Zdarzenie to odciągnęło zupełnie wzrok Kulisza od pomalowanych na zielono drzwi.

— Czekaj pan! — zawołał w stronę nieznajomego, który nie mógł sobie dać rady z pięknym dwufuntowym pstrągiem, drgającym w konwulsyjnych rzutach u haczyka wędki — Nie można tak ciągnąć! Wszystko przepadnie! Ja zaraz panu pokażę!

ETIENNE

ANONIM

Podbiegł szybko do kamienia i wyrwał wędkę z rąk niefortunnego łowcy.

— Patrz pan — rzucił nerwowo — na drzwi tej willi za nami! Jak wyjdzie stamtąd kobieta, daj mi pan znać! A ja tymczasem pobawię się z tym pstrągiem!

To mówiąc, pewnym ruchem znawcy zaczął wodzić wędką po wodzie, kierując ją to w prawą, to w lewą stronę po linii poziomej.

— O, teraz dobrze! — rzekł z zadowoleniem — Wyczerpiemy tę chytrą sztukę! Powoli, cierpliwie, czasu mamy dość...

Po upływie kwadransa, gdy podrzuty pstrąga stały się mniej gwałtowne, rybak szarpnął ostro Kulisza za rękaw.

— Spokój! — wrzasnął Kulisz — Weź pan tę rękę!

— Ale panie, z tej willi wychodzi właśnie jakaś kobieta...

— No, to co z tego? — powiedział z irytacją Kulisz, nie odwracając głowy od rzeki — Co pana obchodzi teraz kobieta? Lepiej uważaj pan, jak się podrywa pstrąga, fujaro jedna!

Poczem zaczął ciągnąć w stronę brzegu zmęczoną rybę. Powoli, cierpliwie, czasu miał przecież dość...

PO WYBORZE VINCENT AURIOL'A NA PREZYDENTA FRANCJI



Rys. Henryk Tomaszewski

Marianna w Auriol'i

Kupiłem wiadro

W jednym ze sklepów spółdzielczych w Łodzi. Obsługa bez zarzutu. Przyjemnie, a zwłaszcza tanio. Cynkowe, solidne wiadro złotych sto.

— Ale płaci pan złotych 104!

— ?

— Chodzi o upowszechnianie. Poprzez nasz tygodnik spółdzielczy „Spólnota". Czterozłotowa dopłata to dla pana fraszka, a czytelnictwo się upowszechni. To przecież obowiązek.

— A bez tygodnika wiadra nie sprzedajecie?

— Bez tygodnika wiadra nie sprzedajemy.

— No, to niech będzie wiadro z tygodnikiem. Żeby upowszechnić czytelnictwo.

Rozdęty zadowoleniem, iż przyczyniłem się w tak prosty sposób do upowszechniania czytelnictwa, nie zauważyłem, że ekspedientka wcisnęła mi stary numer (z 5. stycznia) tego poczytnego pisma, ale mniejsza z tym. Jestem i tak bardzo zadowolony. Bo dzięki temu wpadł mi do głowy znakomity pomysł, rozwiązujący za jednym zamachem zagadnienie, nad którym głowią się co najtęższe w kraju umysły — mianowicie, jak zapobiec inflacji pism w Polsce, co robić, by pisma nie tylko zapełniały kioski uliczne, lecz istotnie docierały do czytelnika.

Nie pójdę tak daleko jak sklep spółdzielczy, który mi sprzedawał wiadro. Nie będę propagował przymusu, lecz nieco łagodniej — zalecenie kupna.

I tak otrzymałby kupujący:

1. Wazelinę — „Szpilki"
2. Jaja — „Odrodzenie"
3. Buraczki — „Kuźnicę"
4. Olej — „Dziś jutro"
5. Makaron — „Tygodnik Powszechny"
6. Mydło — „Kocyndra"
7. Pieprz — „Muchę"
8. Suszone śliwki — „Tydzień"
9. Główkę kapusty — „Tygodnik Warszawski"

„Rózgi" można dodawać do każdego z wymienionych wyżej artykułów.

I. S.

KOŹMA PRUTKOW

PAMIĘĆ PRZESZŁOŚCI

(jakgdyby z Heinego)

Lat czterdzieści już upływa,
Lecz w pamięci twarz i strój,
Ten fartuszek mocno zmięty,
Sznurowany gorset twój...

Niewygodnie w nim się czułaś,
Więc szepnęłaś cicho, bym
Ci go z tyłu rozsznurował,
Gdyż nie możesz biegać w nim!

Tajemnego pełen drżenia,
Rozluźniłem gorset, a
Tyś ze śmiechem gdzieś pobiegła —
Zadumany, stałem ja...



ROBAK I POPADIA

(bajka)

Raz pewnej Popadii wpełznął Robak za szyję,
Więc każe lokajowi, żeby stamtąd wyjął.
Ten szuka, gdy woła taka...
— Hola, co tam robisz?! — No, tępię robaka.

— Ach, jeśli ci już i zapełzł Robak za szyję,
Miast używać lokaja, samaś winna wyjąć!



Tłumaczył JAN HUSZCZA
Ilustrował IGNACY WITZ

JAN CZARNY

Fraszki

UCZONY BUREK

Do jatki zajrzał pies:
— Alea iacta est? —

EPITAPHIUM

Umarł pan trumniarz spoczywa sobie
na wieki wieków, w własnym wyrobie...

ROMANTYCZCE

Pani chce się dla oczu, dla myślących poświęcać?
— W witrynie u rzeźnika leży głowa cielęca...

JAN HORYŃ

Ruch wydawniczy

Jest na okupację
Jeszcze w Polsce haussa —
„Ściany mają uszy",
A wydawca nosa.

Drobiazgi

Jak wykazują dane statystyczne, kobiety żyją znacznie dłużej niż mężczyźni. Zwłaszcza wdowy.

* * *

Człowiek, któremu udowodniono ojcowstwo: alimente captus.

* * *

Pewien szkocki powieściopisarz był tak skąpy, że nie wydał ani jednej książki.

* * *

Radio nigdy nie zastąpi gazety. Niech kto bowiem spróbuje owinąć w radio śniadanie.

* * *

Stanowczo lepiej być chorym na płuca niż bankierem. Bankierzy bowiem umierają wszyscy, natomiast chorych na płuca umiera tylko 57 procent.

* * *

Pewien pan był tak wysoki, że jak chciał włożyć kapelusz, to musiał przyklęknąć.

* * *

Pewien turysta był takim amatorem górskich wycieczek, że ożenił się w końcu z garbuską.

* * *

— Mamo czy mogę zanieść ten list do skrzynki?

Matka spojrzała w okno, a widząc, że deszcz pada, mówi:

— Nie, moje dziecko. Deszcz leje jak z cebra, psa bym nie wypuściła z domu na taką ulewę. Niech tatuś zaniesie ten list do skrzynki.

* * *

Panowie Bączek i Pętelka siedzą w przedziale kolejowym.

— Dokąd jedziesz? — pyta Pętelka.

— Do domu — powiada Bączek — żona mi właśnie depeszowała, że urodziła chłopczyka.

— No, to ci gratuluję! — mówi Pętelka — a któż jest ojcem?

— No wiesz! Podobna bezczelność! — oburza się Bączek — ja ci powiadam, że moja żona urodziła dziecko, a ty mnie pytasz, kto jest ojcem!

— A to cię przepraszam najmocniej — tłumaczy się Pętelka — myślałem, że ty to wiesz!

* * *

Do sekretariatu „Ligi Kobiet" wpada jedna z członkiń, bardzo wzburzona. Osuwając się na krzesło z wrażenia, woła:

— Nie warto było się wysilać, nasza kandydatka na posła zmieniła płeć!

Odpowiedzi redakcji

„Konstantynopolitańczykowianeczka" (Lublin). Pseudonim, owszem, interesujący, nadesłany wiersz — niestety, nie.

Irena Krzykalska (Sopot). Zgodnie z Pani intencją, Szanowna autorko, zapłakaliśmy „łzą serdeczną" nad utworem p. t. „Urzędnicza Dola". Wiersza tego nie możemy umieścić w „Rózgach" z obawy, że wielu czytelników-urzędników — po przeczytaniu go — mogłoby odpłynąć do innych zawodów, dezorganizując swą dezercją sektor państwowy, spółdzielczy oraz prywatny.

„Górska Szarotka" (Zakopane). Narzeka Pani, że „tkwimy w dolinie, nie nie poświęcając górom". Nieprawda. Zamieściliśmy rysunek Grusa z procesu b. goralenvolku.

A. Maj (Chełm Lubelski). Nadesłane utwory — nie dla nas: zbyt „gazetowe".

J. B. (Dąbrowa). O, joj! te kawały o kinofikacji naprawdę już się przejadły! Nie mógłby Pan wziąć na ząb dla odmiany np. Ubezpieczalni?

Z CZEGO SIĘ ŚMIALI NASI DZIADKOWIE
Kurier Świąteczny z 1871 roku

PRZED KOZĄ.



— Patrzaj, Wojtek! A ty jak się tu dostałeś?
— E, bracie, dostać się tu to fraszka, spytaj się lepiej, jak ja się stąd wydostanę.

Przedruk bez podania źródła wzbroniony. „Rózgi" ukazują się co tydzień. — Redakcja: Łódź, Piotrkowska 98 — telefon 212-57
Redagują: Stanisław Sojecki, Stefan Stałański, Henryk Tomaszewski
Przyjmuje się codziennie od 12-ej do 14-ej. Wydaje „Łódzki Instytut Wydawniczy", Żwirki 17, tel. 206-42 D 012402

HUMOR SŁOWACKI

(„Šršeň" i „Šibenicky")



Szympansica: Patrzcie, dzieci, oto macie żywy dowód, że pochodzimy od ludzi!



— I ty byłeś partyzantem, a boisz się mnie, bezbronnej kobiety?!!



— Czy wiesz, mój drogi, czego nauczyli się ludzie po wojnie?

— No, pracować...

— Frajer! Chodzić w pochodzie i manifestować!



— Na Boga, co się z tobą stało? Wypadek samochodowy?

— Nie, nic mi się nie stało, tylko zrobiłem sobie opatrunek, aby się odzwyczaić od palenia!



— Tak, moje panie, gospodyni dostała z UNRR-y jajka w proszku, jesteście więc wolne na okres 2 miesięcy!



— Widzisz dobrze, kochany?



— Dziękuję, panno Lili, na dziś wystarczy!



— Umie pani pisać na maszynie?

— Niebardzo.

— Zna pani stenografię?

— Nie.

— Więc jakie ma pani właściwie kwalifikacje?

— Jestem po raz trzeci rozwiedziona!



— Idzie pani do pracy, panno Marychno?

— Do jakiej pracy? Idę urzędować!



Sposób na przyśpieszenie produkcji filmowej.



— Pozwoli pani, że się przedstawię. Jestem Karlicek, urzędnik...

— Wiem o tym.

— Skąd pani wie?

— Poznałam po przydziałowym garniturze...